

# Borowik

Stali przy drzewach, w odległości kilku kroków od siebie i właśnie zapinali rozporki.

- Uff! - westchnął z ulgą Grzesiek. - Ale mnie cisnęło.

Ruszyli dalej w chojniak. Każdy z nich trzymał w ręku zwinięty worek po ziemniakach.

- Borowik - Mietek nachylił się i wyrwał z ziemi grzyba.

- Gdzie tam, sitak - przyjrzał mu się Grzesiek.

- Borowik.

- Chyba nigdy na grzyby nie chodziłeś.

- Mówię ci, borowik - upierał się Mietek i schował sitaka do kieszeni kurtki.

- Ja tam wolę grzybów nie zbierać - rzekł Grzesiek i kopnął butem jakiegoś muchomora. - Słyszałeś, co gadali po Czernobylu?

- Kiedy to było...

- Nieważne. Ja tam, psia krew, świecić w nocy nie mam zamiaru.

- A pamiętasz - przypomniał sobie Mietek - jak ludzie wtedy jodynę wachali?

- Aha, a w powietrzu unosiła się chmura „pyłku kwiatowego”. Co to była za panika.

- Aż wreszcie spadł złocisty deszcz. Jak se pomyślę o tych elektrowniach atomowych, że może być znowu jakaś awaria, to mam stracha. Bardziej się tego boję niż bomby wodorowej. Bomba raz pier... i nawet nie poczujesz, kiedy wyparowałeś. A po tym cholerstwie, do usr... śmierci nie będziesz wiedział, czy masz raka, czy go nie masz. A jak wyrośnie ci guz, lekarze cię pokroją, trochę popatrzą, zaszyją, wyślą do domu i powiedzą, że miałeś wrzody. Będą cię trzymać na morfinie, żebyś się nie męczył i zdążył spisać testament.

Syrenka Mietka, którą przyjechali, stała na skraju zagajnika. Dzieciaki zostały w samochodzie, więc mogli zapędzić się głęboko w las, nie bojąc się, że ktoś zwędzi im auto.

- Daleko jeszcze? - zapytał Grzesiek.

- Nie, bliźutko.

Minęli stertę metalowych puszek, plastikowych puszek, butelek, poźółkłych gazet, spleśniałych szmat, gruzu, desek...

- Chyba już tędy przechodziliśmy? - niepokoił się Grzesiek.

- Nie, to są inne śmieci. Tamta sterta była mniejsza.

- Czy to już wysypisk nie ma? Wszystko do lasu.

- Ponoć jeszcze są, ale tam za drogo, nie opłaca się, no i nie ma już miejsca.

- Jak tak dalej będzie, to umrzemy na własnych śmieciach.

Przeszli obok porzuconego samochodu, który ktoś rozebrał na części, a co nie dało się wymontować, zostawił.

- Znasz Kopałę z Gumnic? - zapytał Mietek.

- Nie, bo co?

- Wiesz, jak się urządził? Kiedy robił w zakładach, to cieniutko prządl. Ledwo starczało do pierwszego. Dzieciaki w sandałach po śniegu latały. Ale kiedy komuna padła, nowa dyrekcja zrobiła redukcję pracowników i posłali go na kuroniówkę. I dopiero wtedy zaczęło mu się powodzić. A wiesz dlaczego? Zbierał złom po lasach. Po poligonie ruskim łąził, miedziane łuski znajdował. Poniżej pół bańki zarobku dziennie do domu nie wracał. Ale co z tego? Chciwość go zgubiła. Miał chłopina pechowy dzień, wygrzebał jakąś minę czy coś, no i kutasa mu urwało.

- Bez jaj.

- Ta, sika na siedząco. A jego stryjek to też nie ma szczęścia - rozgadał się Mietek. - Pechowa jakaś rodzina. Gajowym jest. Za dawnych czasów to mu całkiem, całkiem. Zagraniczniki przyjeżdżali na polowania. Nagonkę im organizował, dziwki z miasta przywoził, ogniska, kiełbaski, wódeczka, koniaczek. Później przysyłali mu zaproszenia do Niemiec, do Szwecji, do Włoch. Ale źle mu tu nie było, to został. Zawsze coś tam na boku dorobił. A ile on miał dewiz! Jak u cinkciarza w kantorze. Ale szuja to on nie był. Chciałeś choinkę na święta? Nawet nie spojrział. Bierz siekierę i rąb, która ci się

podoba. No, chyba że potrzebowałeś modrzewia na boazerię. A i tak dużo nie brał, groszowe sprawy. Roboty też za wiele nie miał. Kłusownikowi solą portki przetrzepał, wnykę ściągnął, z piaskiem chodził, sprawozdania pisał, takie tam.

Grzesiek wyciągnął z torby butelkę piwa.

- Napijesz się?

- Prowadzę.

- Co się boisz? Wczoraj drogówka całą noc na dancingu balowała. Leczą dzisiaj kaca.

- To daj.

Grzesiek podał mu piwo, a sobie wziął następne. Otworzyli zębami butelki i szli dalej.

- A teraz? - ciągnął Mietek. - Zgroza. Szkoda gadać. Boi się do lasu wyjść. Chleje na umór „Pod Kasztanami”. Rady sobie nie daje. Mówił mnie, że bandy po lasach grasują, jak za partyzantki. Mafie jakieś. W nocy tirem po drzewo przyjeżdżają. Raz się wychylił, to mu kałasznika do głowy przyłożyli i zagrozili, że jak będzie podskakiwał, to mu gajówkę spalą, żonę i dzieci w studni utopia, a jego grobu to nawet za sto lat nikt nie znajdzie. A żali się, że tną co popadnie: dąb, sosna, modrzew, młode, stare, chronione, niechronione. Aż przyjedzie w końcu komisja. Popatrzy. Drzew nie ma. Kto winien? Gajowy cichaczem sprzedawał. Capną go za d... i do pierdla. Nie ma zlituj się. Sytuacja bez wyjścia: kulka w łeb albo do mamra.

- Daleko jeszcze? - Grzesiek wyrzucił butelkę w krzaki.

- Już jesteśmy prawie na miejscu - cisnął pustą butelkę między drzewa, lecz ta musiała trafić gdzieś na kamień, bo usłyszeli, jak się roztrzaskała.

Dotarli do wymarłego zagajnika. Wyschnięte drzewa wyglądały jak po kataklizmie. Nagie gałęzie, sterczące pnie. Obaj spostrzegli się, że nie śpiewają tu ptaki, nie wieje wiatr, nie ma cienia i to ich na moment zdziwiło.

- Ty - zatrzymał się Grzesiek. - Czemu my nie wzięli łopat?

- Chodź, kopać nie będziem. Na wierzchu leży.

Wreszcie dotarli na miejsce. Między krzakami jałowca tkwiły grudki węgla. Jeszcze parę lat temu znajdował się tu radziecki poligon. Ruskie odeszli, ale pozostawili po sobie w tym miejscu kilka ton „czarnego złota”. Co tu robił? Trudno zgadnąć. Może była tu polowa kuchnia?

- Potem wrócimy po jałowiec - oznajmił Grzesiek.

- Na miotłę?

- Nałapię kilka węgorzy, to się uwędzi.

- Pójdę z tobą.

Przykucnęli i zaczęli wygrzebywać rękami czarne bryłki węgla. Wrzucali je do rozpostartych worków.

- Jak nie będzie mrozów, to starczy nam tego na całą zimę - ucieszył się Mietek.

Robert Litwińczuk